ROZMAITOŚCI.

Dnia 21. grudnia, Ner 51. roku 1844.

Wincentego Pola

IMPROWIZACYJA W ROKU 1843 NA ŹRÓDŁO IWONICKIE, »BEŁKOTKĄ« ZWANE.

W cieniu tych lasów, coś tam szemrząc słodko,
Dziś — jak przed wieki — witasz nas *Bełkotko!*
O! — jak natchnienie przez duszę przepływa,
Czysty się płomień z twych nurtów dobywa;
A czcią przejęci nad źródłami twemi,
Wielbimy Boga w cudach naszéj ziemi!
Bo ogień święty i szmer źródła rzewny,
Co tajemniczo z pod ziemi wychodzi,
Jest temu życiu serc naszych pokrewny,
Co się z płomieni i łez cichych rodzi.

PAWEŁ MORO,

OSTATNI KONTRABANDIERI.

(Dokończenie.)

Siedm lat już upłynęło, jak nowa Delila z Bedonii wydała była kochanka nieprzyjaciołom, gdyż Paweł był wtedy zanadto nieprzygotowanym na taką zdradę, aby się mógł był oprzéć przemagającym ich siłom. Teraz się już wszystko zmieniło w Val-di-Taro. Od czasu uwięzienia ostatniego bandyty, »wolny handel« ustał zupełnie. Los Pawła Moro odstraszył najodważniejszych śmiałków. Zdarzyło się jeszcze wprawdzie niekiedy, iż jaki przemytnik nocą z paką zakazanych towarów ciemnym przekradał się parowem, lecz dawny śmiały, otwarty sposób przemycania zdawał się teraz zupełnie być zapomnianym.

Dla wszystkich prawie zostało tajemnicą, jakiego podstępu przy schwytaniu Pawła Moro użyto. Ale jakkolwiek zręcznie Stella podejrzenie tego niegodziwego czynu od siebie oddalić umiała, jakkolwiek głośno nieszczęście swego kochanka, opłakiwała, — postrzegła przecież wkrótce, iż opinija publiczna przeciwko niéj oświadczać się zaczęła, i jakgdyby nagle powietrze w Bedonii staruszce nie służyło, namówiła ją Stella, aby się do Burgotaro przeniosła.

Tam wzmogło się ciężące na niéj podejrzenie jeszcze bardziéj przez nieporządne życie, jakiemu się w swojém rodzinném miejscu oddała. Kapitan Scotti, który jak powszechnie mniemano, był dowódzcą ostatniéj wyprawy przeciw Pawłowi Moro, stał się teraz jéj najusilniejszym zalotnikiem. Pochlebstwa tego galana przywiodły ją do różnych lekkomyślnych postępków, które wszystkich uczciwych ludzi gorszyły. Pomimo zepsucia stanów wyższych we Włoszech, są obyczaje tamecznego ludu po większéj części czyste i nieskażone. Maryja Stella uznała sama, iż jéj nie przystoi pokazywać się więcéj pomiędzy przyjaciołkami, i napróżno życzyła sobie nakłonić swojego wielbiciela do przywrócenia jéj sławy w jedyny sposób, w jaki to się stać mogło. Pewnéj chwili, gdy ją rozpacz uniosła, a może nawet idąc za radą kapitana, usłuchała ponowionych oświadczeń swego dawnego zalotnika, doktora Bisturego, i poszła za mąż za tego starego sknerę, który już trzy żony pochował.

Wesele odbyło się we trzy miesiące po uwięzieniu groźnego przemytnika. Wkrótce przedtém, nadeszła do Burgotaro wiadomość o jego sądowém przesłuchaniu i zapadłym nań wyroku, a lada dzień spodziéwano się usłyszéć o jego zapowiedzianém straceniu.

Rozgłośnie brzmiały dzwony kościelne w Burgotaro, gdy doktor i jego młoda żona, już teraz na wieki połączeni, wyszli głównémi drzwiami z świątyni. Stara podgórska mieścina przywdziała świąteczne suknie, nie troszcząc się wcale o to, że para nowożeńców któréj winszować miała, tak mało była lubioną. Wesoła młodzież wydawała radośne okrzyki, po całéj okolicy rozlegał się odgłos licznych strzałów z moździerzy, chorągwie powiewały na wszystkich domach, a ulice były zasłane kwiatami. Cały orszak weselny jechał na małych górskich konikach, a tłumy rozmaitego ludu cisnęły się za weselnym orszakiem. Kapitan Scotti dojeżdżał

pysznego skarogniadego rumaka, paradując jako starosta po lewym boku Stelli. Jego świetny ubior i marsowa postawa odbijały dziwnie od zwiędłéj twarzy i zgarbionéj postaci pana młodego, który na leniwym mule się kiwał. Raźna drużyna weselna zbliżała się właśnie do mieszkania doktora, gdy jéj jakiś z przeciwnéj strony nadciągający orszak drogę zastąpił. Lecz ci nowi goście przedstawiali zupełnie odmienny widok.

Byłto transport dziko wyglądających zbrodniów, uwiązanych do jednego powrozu i obciążonych kajdanami. Dodany dla bezpieczeństwa oddział algazylów czuwał pilnie nad każdém ich poruszeniem. Odstawiano ich w ten sposób do Genuy, gdzie w porcie na galarach odbywać mieli karę. Każdy z przeciągających złoczyńców mruknął na widok panny młodéj jakiś bezwstydny żarcik. Tylko ostatni — a szedł on sam jeden, z wlepionemi w ziemię oczyma, jak gdyby nie postrzegał, co się wokoło dzieje — tylko ten ostatni, byłby przeszedł w milczeniu, gdyby go był nie ocucił stłumiony wykrzyk Stelli — gdyż był to — Paweł Moro!

Rano dnia tego kiedy go w Parmie tracić miano, w drodze na śmierć, zdybał się z nadjeżdżającym właśnie książęcym powozem, a to spotkanie, podług starodawnego zwyczaju, uwolniło go od kary śmierci. Zamieniono wyrok na dożywotnie więzienie, i oddano go między zbrodniów, którzy na galary do Genuy odchodzić mieli.

Usłyszawszy wykrzyk zdziwienia, który się na widok nieszczęśliwéj ofiary wymknął był ustom Stelli, podniósł dawny przemytnik schyloną głowę i zdawał się przychodzić do siebie z ciężkiego otrętwienia. Spojrzał na swoję dawną kochankę, spojrzał na wytwornego jeźdźca, który na piérwszy znak powstającego zamieszania objął był prawém ramieniem przelęknioną towarzyszkę, — postrzegłszy ją zwrócił się nagle ku niéj, jakgdyby chciał do niéj przemówić, a to gwałtowne poruszenie udzieliło się całemu orszakowi powiązanych z nim jeńców. Ale okrutni dozorcy popędzili go groźbą i kijem daléj.

Dzika rozpacz zawichrzyła serce biednego więźnia. Okropném spojrzeniem powiódł po wszystkich otaczających go Indziach, jakgdyby całemu chciał kląć stworzeniu. Poczém z wściekłością apenińskiego wilka, który myśliwskim strzałem raniony, w bolącę ciało kły swoje zatapia, ukąsił się tak mocno w lewe ramię, iż mu zpod zębów krew zdrojem wytrysnęła. Osłabiony krwi utratą i nawałem namiętności, musiał pozostać w Burgotaro w więzieniu, zkąd dopiéro po upływie miesiąca mógł odejść na miejsce przeznaczenia.

Już siedm lat minęło od chwili owego nieszczęsnego spotkania, które Maryję Stellę w dzień weselny tak mocno przeraziło i złowrogiemi przejęło przeczuciami. Siedziała teraz samotna w sypialnéj izbie czuwając nad małą śpiącą dziewczynką, jedyném swojém dziecięciem, które w piérwszym roku swego zaślubienia powiła. Doktor, jéj mąż, wyjechał był na krótki czas w sąsiedztwo do chorego. Było już późno w nocy, a jéj służąca udała się już na spoczynek. Żywa trwoga i niespokojność malowała się w jéj twarzy, a przecież nie mogło to pochodzić z macierzyńskiéj troskliwości o zdrowie ukochanego dziecięcia, gdyż na jego piękném, rumianém licu kwitnęły najświéższe róże, a na lekko poruszanych we śnie ustach igrał anielski uśmiéch niewinności. Pokilkokrotnie błądziło oko Stelli od łóżeczka dziewczynki ku drzwiom na pół otwartym. Czasami téż wstawała i chodziła w niespokojném oczekiwaniu po izbie.

Rysy jéj twarzy utraciły wiele z dawnéj piękności, a jakiś wewnętrzny smutek podkopał jéj wątłe zdrowie. Dostatki i przyjemności jéj teraźniejszego życia nie przyniosły ani w części owych korzyści, jakich się po nich spodziéwała, idąc za majętnego starca. Nudna jednostajność panująca w domu jéj opryskliwego małżonka, nie wynagradzała jéj wcale lekceważania i wzgardy, na jakie była wystawiona ile razy odważyła się wejść w towarzystwa, do jakich ani urodzeniem ani całém swojém dawném postępowaniem, żadnego sobie prawa rościć nie mogła. Mężczyzna zaś, dla którego się tak dalece i w oczach świata i w swojém własném uczuciu poniżyła, odpłacił się niewdzięcznością za jéj występne ku niemu przywiązanie. Wkrótce po jéj zaméściu został przeniesionym w odległą okolicę. Nie odpowiedział na żaden z jéj pisanych do niego listów, a tak, od wielu lat już, nie mieli żadnéj o sobie wiadomości.

Teraz drżąca z niecierpliwego oczekiwania, siedziała występna żona nad łożem swego dziecięcia. I to dziécię miało także prawa do serca tego zimnego, samolubnego człowieka. Lata już upłynęły, jak go Stella poraz ostatni widziała, a nowonarodzone niemowlę podrosło tymczasem w roztropną dziewczynkę. Patrząc na nią spodziéwała się biédna matka, iż to dziecko stanie się zakładem odnowionéj miłości. Dla mnie — tak sobie w duchu mówiła — może się okazać hardym i obojętnym, lecz nie zdoła się oprzéć uśmiéchowi swéj córki, i dawne może powróci mi przywiązanie.

Ciemna noc była na dworze. Szumiąca burza

jesieni trzęsła starym budynkiem. Połyskiwała wprawdzie niekiedy samotna gwiazdka pośród przelatujących obłoków, lecz natychmiast zasuły ją czarne chmury, i znowu pociemniało.

Maryja Stella przystąpiła do okna i przypatrywała się rozwichrzeniu żywiołów. Chłodny dreszcz ją przeniknął, gdy nocny wiatr zajęczał przez szparę zamkniętéj okiennicy, podobny do głosu głodnego wilka, który nocą około samotnéj stajni się błąka.

Nagle zajaśniała radość na jéj twarzy i klasnęła z uciechą w ręce, gdyż śród pustéj ulicy dostrzegła postaci jakiegoś nadchodzącego mężczyzny. Stella poznała na piérwszy rzut oka ten wzrost wyniosły, tę wojenną postawę. Jakož się nie zawiodła. Po krótkiej chwili stanęła ta marsowa postać na progu jéj mieszkania. Byłto stary budynek, w kształcie zamku wzniesiony, lecz całkiem opustoszały, który niegdyś ze szczątków pewnéj podupadłéj rodziny, przeszedł taniem kupnem w ręce doktora. Główna brama, wychodząca na ulicę, stała dniem i nocą otworem, tylko drzwi do zamieszkanych pokojów bywały zamknione. Kapitan wszedł do sieni; jeszcze krótka chwila drżącego oczekiwania — a już dały się słyszeć kroki po marmurowych wschodach. Maryja Stella pobiegła z wyciągnionémi ramionami ku drzwiom pokoju. Silne uderzenie ze sieni, otworzyło drzwi na oścież. Tajemniczy gość wszedł do pokoju, Maryja wydała krzyk przerażenia i upadła zemdlona, a.... przed nią, stanął Paweł Moro

Sześć lat i dziewięć miesięcy, nie miała Stella żadnéj wieści o przemytniku. Czasami myślała wprawdzie o nim, ale jego nagłe zjawienie się w téj chwili, wywołało w niéj natłok tajonych zgryzot sumienia. O, sprawiedliwe nieba! Byłżeto cień zmarłego i przyszedł zadość uczynić zemście swojéj? Lub, jeżli to był żyjący, jakimże sposobem zdołał skruszyć kajdany i przybył tu bezpieczny w swoje rodzinne góry? a przybywszy, jakimże przypadkiem zeszedł się z kapitanem; gdyż Stellę nie zawiodły jéj oczy, osobą która przed chwilą stała na progu domu, był niezawodnie kapitan Skotti. Tak jest — spotkali się obadwaj, a wracający kochanek — padł z ręki swego rywala.

Takie były najpiérwsze myśli, które zatrzęsły duszą przerażonéj kobiéty. Jakaś okropna, nieodgadniona tajemnica powiększała przestrach tego nagłego obaczenia się po tylu latach. Była to powiadomość niechybnéj zguby, byłoto przeczucie jakiegoś wielkiego nieszczęścia, którego jednak właściwéj natury nie mogła zbadać jéj przelękniona dusza.

Maryja Stella padła jak nieżywa; po krótkiéj chwili przyszedłszy cokolwiek do siebie, trzykroć przycisnęła rękę do serca, trzykroć jęknęła głęboko i poczołgała się ku łożu swego dziecięcia. Nagle zamieniła się trupia bladość jéj lica w szkarłatną cerę. Tętna skroni zaczęły bić gwałtownie, gardło zachérczało, wytrzészczyła oczy na okropne zjawisko, które jakby głowa Meduzy w osłupienie ją zaczarowało; trzykroć wyjęknęła przytłumionym głosem: »Paweł! Paweł Moro!« i znowu padła wzdłuż łoża dziecięcia.

Przyczyna, która nieszczęśliwą Maryję Stellę tak straszliwie przeraziła, nie jest dla nas trudną do rozjaśnienia zagadką. Przed trzema dniami gruchnęła w Genui pogłoska o wyłomaniu się sześciu galarowych więźniów z Darseny. Widziano ich uciekających wzdłuż brzegów morza w kierunku ku la Spezia. Byłito zbójcy i przemytnicy z Parmy, a herszt em ich był Paweł Moro, który ułożył śmiały plan ucieczki. Pochwycili statek rybacki i odpłynęli ku przeciwległym wybrzeżom afrykańskim. Ale ich przewodnik pozostał. Oparł się prośbom, łzom a nawet groźbom swych towarzyszy. Powiadał, iż ma dopełnić ślubu. Długo patrzył na morze za znikającémi w dali żaglami, które pomyślnym pędzone wiatrem, jego towarzyszów do kraju wolności i bezpieczeństwa unosiły. Życzył im szczęścia i pomyślności, lecz nie zazdrościł im i nie ubolewał nad rozstaniem się z niemi. On musiał słuchać głosu innego przeznaczenia!

Udał się więc ku swoim rodzinnym stronom. Powitał znowu ulubione góry ojczyste i zapuścił się w lasy. Z wysokiéj urwistéj skały spoglądał daleko na dolinę, która była widownią jego dawniejszych zwycięztw. Zwidził gruzy swego zburzonego domostwa, i przedarł sobie drogę śród pokrzywy i ostów, zarastających te pola, które były niegdyś jego własnością. Ponury smutek, który w jego piersiach zamieszkał, zdawał się teraz również i tę piękną niegdyś ziemię zalegać!

Lecz nie przyszedł tu po to, aby dumać nad zwaliskami, lub skarżyć się na pustoszące burze jesieni. Miał on dopełnić świętego obowiązku — dokonać ślubu zemsty. Trzy dni i trzy nocy błąkał się jak cień po okolicy, i śledził wszędy kroków swojéj ofiary. Nieobecność doktora, listowną korespondencyję pomiędzy kochankami, wyznaczony czas zejścia — wszystko to wiedział, wszystko to odgadł, natchniony cudownym instynktem zemsty.

O naznaczonéj godzinie skrył się na podsieniu przed mieszkaniem doktora. Zaczajony za słupem, czekał tam pociemku przybycia nienawistnego wroga. Usłyszał wkrótce jego stąpa-

nie, postrzegł jego wysoką postać, mógł nawet rozeznać rysy twarzy, gdy kapitan przeszedłszy w ciemności koło niego, udał się na wschody. Paweł Moro położył rękę na sztylecie i pospieszył za kapitanem.

Ale namiętność jest zwykle porywcza i nieuważna, a wewnętrzne uczucie winy, odejmuje odwagę i przenika nikczemną trwogą! Kapitan usłyszał kroki za sobą. Nie przeszło mu wprawdzie ani przez myśl wystawiać sobie niebezpieczeństwo, które mu w istocie zagrażało, lecz jakieś widma i strachy zdjęły go dziwną bojaźnią. Lękał się, czy doktor nie odkrył jego stosunków z Stellą i nie chce go zwabić w zasadzkę; lękał się nawet zemsty saméjże kochanki, która, jak musiał wyznać, była przez niego pokrzywdzoną. Nagła trwoga opanowała walecznego żołnierza. Postanowił zaniechać schadzki. I w okamgnieniu, skoro tylko powziął ten zamiar, zbiegł po cichu bocznémi wschody na podwórze, i wyszedł fórtką wiodącą na ulicę.

Paweł Moro nie postrzegł jego ucieczki. Był przekonany iż postępuje za krokami swojego wroga i że go ma w swojéj mocy. Żądza zemsty uczyniła go ślepym i głuchym. Obeznany dobrze z wnętrznem urządzeniem domu, pospieszył ku pokojowi Stelli, dokąd, jak mniemał, kapitan właśnie wstąpił w téj chwili. Rozwarł z trzaskiem drzwi na oścież, a nie widząc tu kapitana, zdziwił się tém prawie równie tak mocno, jak Stella jego widokiem.

Zaledwie dowierzał swym własnym oczom. Obejrzał przelotnie cały pokój, i przekonał się, iż mu jego ofiara umknęła. Stanął więc jak wryty.

Kilkudniowém błąkaniem się po lasach w nocy i we dnie była odzież jego brudna i obdarta. Twarz jego pobladła okropnie w skutek głodu i bezsennie spędzonych nocy; jego rysy przybrały przy ciężkiej pracy więzienia ów wyraz ponuréj dzikości, jaka zwykle galarowych więźniów cechuje. Byłto równie smutny jak przerażający widok, a nawet pominąwszy okoliczności śród jakich pokazał się teraz swojéj dawnéj kochance, można było mniemać istotnie, iż to nie ów dawny żyjący Paweł Moro, lecz tylko jego widmo.

Przemytnik ocucił się jedynie na to z chwilowego zdumienia, w które go nagłe zniknienie kapitana wprawiło, aby się przerazić skutkami, jakie jego zjawienie się w téj chwili na kochanéj niegdyś Maryi Stelli wywarło. Rzucił się jak błyskawica ku jéj pomocy i ująwszy ją w ramiona, wołał ją w głos po imieniu i rozbudził wszystkich śpiących mieszkańców domu.

Ani w chwilach jego czarnéj rozpaczy w więzieniu, ani w samotnych w *bagno* przepędzonych godzinach, ani śród dumań i planów zemsty — nigdy i nigdzie nie wywołało imię Stelli uczuć nienawiści lub gniewu w jego piersi. I teraz nawet nie przyszedł on tu w myśli, aby jéj jakąkolwiek przykrość wyrządzić. Smuciło go jedynie, iż ona, która była niegdyś tak dobrą, mogła się tak poniżyć! Lekkomyślna jéj zdrada wtrąciła go w niewypowiedzianą nędzę, a przecież nie mógł jéj nienawidzieć. Myśl oddania jéj wetzawet doznanéj przez nią krzywdy, nie mogła postać mu w głowie.

Jad zemsty, który przez tak mnogie lata w głębi jego duszy się zbiérał, upatrzył sobie cel inny. Chciał położyć trupem przed nią, jéj zwodziciela. Jemu, który zatruł jéj młodocianą niewinność, który wszeptał zdradę w ucho niedoświadczonéj dziewczyny, który użył miłości do podniecenia najohydniejszego wiarołomstwa — jemu, który mu zaćmił słońce całego życia, naruszył wiarę w Boga i jego sprawiedliwość — jemuto chciał przebić serce sztyletem.

Tymczasem jednak wybrana jego ofiara, jakby w ziemię znikła, a Stella leżała przed nim umiérająca. Tak jest umiérająca! Wszystkie bowiem jego, i zbudzonych służących usiłowania, były daremne. Oczy Stelli były széroko rozwarte, i zdawało się jakby niémi wszelkich poruszeń przemytnika śledziła, podczas gdy on bolesną miną i głośnem łkaniem, wszystkich obecnych do ratowania jéj wzywał. Ale śmierć osłoniła już wzrok Stelli, jéj ciało już zmartwiało, chociaż jeszcze oddéchała. Kurcz, który ją w chwili owego nagłego przestrachu chwycił, był powodem jéj śmierci.

We czternaście dni po tém smutném zdarzeniu powiodło się Pawłowi Moro przemknąć do Bastyi w Korsyce. Pomimo odciętych uszu został przyjętym do legii cudzoziemców, którą rząd francuzki wówczas do Afryki wyprawiał. Pozbawiony wszelkich nadziéj, które przywiązują do życia, odznaczył się w przeciągu niewielu miesięcy kilkokrotnie w boju z maurami algierskimi. Jego śmiałość przy każdém przedsięwzięciu i rzadkie siły fizyczne sprawiły, iż z niejednéj potyczki powiodło mu się wyjść zwycięzko. Postąpił na sierzanta i został ozdobiony krzyżem legii honorowéj, który mu sam dowódzca upiął na piersiach. Te zaszczyty, a może jeszcze bardziéj nieustanny ruch wojny zdawały się zaciérać w nim powoli wszelkie ślady minionych nieszczęść i jednać go znowu z życiem i ludźmi. Pewnego dnia otrzymał rozkaz do wyruszenia z małym oddziałem lekkiéj infanteryi na zwiady, i dostał się w niewolę

arabska. Tam albo umarł z ran odniesionych, albo przez barbarzyńców zabitym został, gdyż odtąd nic już o nim słychać nie było.

Eugenijusz Sue.

Ten powszechnie teraz czytany pisarz urodził się w Paryżu dnia 10 grudnia 1804 roku. Rodzicami chrzestnémi byli książę Eugenijusz Beauharnais i cesarzowa Józefina. Rodzina Suego jest bardzo dawnego pochodzenia i osiadła od wielu wieków w Prowancyi. Ojciec Eugenijusza był sztabowym lekarzem w gwardyi cesarza Napoleona. Po restauracyi przeszedł w służbę króla Ludwika XVIII. Zostawał w ciągłych stosunkach przyjaźni i zażyłości z cesarzową Jozefiną, Franklinem, jenerałami Massena i Moreau, jakoteż ze wszystkimi sławnymi mężami konsulatu. Oprócz tego znany jest dotąd jako autor rozlicznych dzieł lekarskich, tudzież jako głęboki badacz przyrody, słynący z wielu nadzwyczajnych postrzeżeń nad wpływem galwanizmu i osobliwszémi skutkami śmierci przez ścięcie głowy. W ostatnich czasach uczynił on akademii sztuk pięknych spaniały dar ze zbioru przedmiotów porównawczéj anatomii i naturalnéj historyi, nagromadzony przez cztéry pokolenia lekarzów, z rodziny Sue pochodzących. To kosztowne muzeum tworzy osobną galeryję w pałacu akademii sztuk pięknych. — Eugenijusz Sue obrał najprzód, stosownie do życzeń ojca, podobnież zawód lekarski, i został przydzielony jako chirurg do wojennéj świty królewskiéj, późniéj, w roku 1823, do jeneralnego sztabu armii francuzkiéj, wysłanéj do Hiszpanii, a wreszcie, jeszcze w ciągu téj samej wyprawy, do 7go pułku artyleryi. Takim sposobem znajdował się przy oblężeniu Kadyxu i zdobyciu Trocadero i Taryfy. W roku 1824 opuścił Eugenijusz Sue służbę lądową i wstąpił do służby morskiéj. Był kilka razy w Ameryce a zabawiwszy jakiś czas na wyspach antylskich, powrócił na morze śródziemne, i zwidził Grecyję. W roku 1828 znajdował się podczas bitwy pod Nawarynem na okręcie linijowym »Wrocław«. Po ukończeniu téj wyprawy zrzekł się służby wojskowéj, jakoteż sztuki lekarskiéj, któréj wykonywanie nie miało żadnego dlań powabu, i zamieszkał w Paryżu, gdzie dzięki dość znacznemu dochodowi ze spuścizny po ojcu, mógł szczęśliwe a nawet świetne prowadzić życie. Głównem jego zajęciem było wówczas, oprócz gonienia za uciechami, malarstwo, któremu się pod przewodnictwem swojego przyjaciela Gudin poświęcał. — W roku 1830 rzekł doń pewnego dnia jeden z jego dawnych towarzyszów broni następujące słowa: »Powieści Coopera wprowadziły oceańskie opisy w modę; powinienbyś Eugenijuszu i ty skreślić swoje wspomnienia morskie i stać się twórcą francuzkich powieści morskich.« Ta myśl podobała się naszemu autorowi. Porzucił paletę i ująwszy za pióro, napisał: »Kernok, rozbójnik morski.« Znajdując zaś przyjemną rozrywkę w pisaniu takich powieści, a do tego zachęcony pomyślném przyjęciem piérwszego dzieła, nie złożył już więcéj pióra, lecz puszczając swobodnie wodze żywéj i płodnéj wyobraźni, pisał coraz żwawiéj i śmieléj. Tak powstały koleją mnogie utwory, któreby najstosowniéj w następujący sposób podzielić można: Powieści morskie, jakoto: »Kernok« — »Plik i Plok« — »Atar-Gull« — »Salamander« i »Strażnica w Koat-Ven.« Dzieła dotyczące historyi morskiéj: »Historyja marynarki francuzkiéj za czasów Ludwika XIV« »Rys dziejów wojennéj marynarki wszelkich narodów.« — Powieści historyczne: »Latréaumont« — »Jean Cavalier« — »Létorières« i »Komandor maltański.« — Powieści obyczajowe: »Artur« — »Kukaracza« — »Dyleytar« — »Hôtel Lambert« — »Matylda.« — Dramy: »Latréaumont« — »Pretendentka« i kilka innych melodramów. W tych ostatnich pracach pomagali mu panowie Dinaux i Legouvé. Wreszcie filozoficzne i społeczne powieści: »Tajemnice Paryża« i »Żyd wieczny tułacz.«

Już w najpiérwszych dziełach Eugenijusza Sue objawia się duch wolen wszelkich przesądów i współczująca, namiętna dusza. Wśród najfantastyczniejszych opisów, nieraz obok wyraźnych niedorzeczności, widać rzadki dar postrzegacza, śledzącego bystrém okiem kryjącé się wszędzie około siebie złości i malującego wiernie tryjumfy zdrady i przemocy. Już w najwcześniejszych jego pismach odzywa się przeczucie społecznego przeistoczenia. Wreszcie natchnął go popęd szlachetnéj duszy do napisania »Tajemnic Paryża«. Autor tego sławnego dzieła wyznał sam kilkokrotnie iż główną myśl téj pracy winien jest radom krytyki. Rzadkito dowód skromności i spaniałego umysłu. Eugenijusz Sue jest bardzo łagodnego charakteru, pełen ujmującego wdzięku i naturalnéj prostoty. Przytém celuje dobrodusznością, wolną od wszelkich uroszczeń, co zapewne nie często u sławnych artystów naszego czasu się zdarza. Jestto szczéra, otwarta, przychylna dusza, posiadająca wiele delikatności i taktu. W towarzystwie jest zupełnie człowiekiem światowym, uprzejmym, wesołym, dowcipnym i wszędzie też lubionym. Jak się nam zdaje, jest on gorliwym wielbicielem płci pięknéj, i mniemamy

że w swoich licznych podróżach i przygodach uczył się dziejów miłości po trochę u wszystkich narodów i we wszystkich ludzkich językach. Ma on oko kreolskie, które się czasem roziskrza, niekiedy jest jakby przyćmione, zawsze jednakże nadzwyczajnie bystro postrzegające. Czarne i gęste brwi jego sklepią się ostrym lukiem. Czoło średniéj wysokości, znamionuje rozwinięcie się zmysłu badawczego przez porównanie i wnioski, objawia oraz wszelkie przymioty artysty. Nos cienki, delikatny, usta pięknego kroju i pełne namiętnego wyrazu. Włos bujny i twardy. Cera brunatna i cokolwiek żółtawa. Chód i cała postawa wyrażają łagodność, lecz połączoną z niezwykłą siłą i żywością: jestto kreolski Herkules. — Eugenijusz Sue zamieszkuje w wyższéj części przedmieścia *St. Honoré* mały domek otoczony kwiatami i wijącemi się krzewy. Jego ogród jest świéży, miły i woniejący jak rzadko; jasny promień fontanny szemrze wesoło po świéżych kamykach. Długa zamknięta galeryja, ozdobiona obrazami i roślinami, prowadzi do drzwi zewnętrznych, ukrytych w sztucznéj skale. Mieszkanie składa się z małych i nieco za niskich pokojów, które wijącémi się u okien kwiaty i powojami są zaciemione. Umeblowanie koloru czerwonego, ze złocistémi gwoździkami. Jeden tylko pokój sypialny jest cokolwiek jaśniejszy i niebieskawy. Liczne sprzęty stoją w niejakim nieporządku pomiędzy ciemnémi zasłonami. Znajdziesz tam próbki wszelakich stylów: gockiego, *renaissance* i francuzkie ozdoby. Salon *en rocaille* urządzony. Wszystkie ściany okryte przedmiotami sztuki, osobliwościami, obrazami, utworami rzeźbiarskiemi, portretami członków rodziny, malowidłami dawnych jakotéż i tegoczesnych mistrzów, przyjacioł gospodarza. Na źwierciadlanych stolikach stoją kosztowne wazy, upominki przyjaźni kobiécéj. Jedna z nich jest nawet darem pochodzącym z ręki królewskiéj. Wszędzie postrzegamy sławne imiona: Delacroix, Gudin, Isabey, Vernet i t. d. Jedna i ta sama rama obejmuje rysunek pani Lamartine i poezyje jéj uwielbianego małżonka. Pomiędzy témi wszystkiémi salonowémi cackami stoi na osobnéj szteludze obraz Isabeya »Anachoreta«, który przy swojéj przerażającéj piękności, dziwnie wpośród reszty przepychu téj świątyni zmysłowości, odbija. Wszędzie wieją najmilsze wonie. Obrazy psów i koni, do których Eugenijusz Sue osobliwsze ma zamiłowanie, po części jego samego, poczęści Alfreda Dedreux roboty, przypominają się mile ze ściany swemu panu i przyjacielowi. W sali wstępnéj widać pomiędzy przyrządami i trofejami myśliwskiemi wilka i jastrzębia, niegdyś ułaskawionych ulubieńców, teraz zręcznie wypchanych. W głębi ogrodu biegają dwa piękne charty, otrzymane w darze od lorda Chesterfield. Pyszne bażanty i gołębie igrają swobodnie na gazonie w ogrodzie, i zlatują co wieczór jako skrzydlate stróże domowych progów i mili przyjaciele, nocować na dużych kwietnych wazonach i ogrodowych wschodach. — Oglądając to przyjemne mieszkanie, które nam ręka pewnego przyjaciela pod niebytność właściciela otwarła, odgadliśmy wnet jego skłonności i szczególne upodobania, to jest namiętność zbytków i szumnych uciech, niewyłączające jednak zamiłowania samotności i cichych dumań; daléj wytrawny smak dla sztuk pięknych; wreszcie przywiązanie do źwierząt i roślin. Oprowadzał nas służący domu Wawrzyniec, będący od lat pietnastu nieodstępnym towarzyszem swojego pana, co daje równie pochlebne wyobrażenie o słudze jak i o panu.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiérsz do W..... P.

NA PAMIĄTKĘ LAT OD 1832 DO 1836.

Czy pamiętasz piewco miły,
Wspólnéj wiosny chwile,
Kiedy piersi te żywiły
Lubych marzeń tyle?
Gdym przyjaźni twej zadatek
Przyjął z rozrzewnieniem,
Gdy nas wonny nęcił kwiatek
Pod topoli cieniem?

Czy pamiętasz piewco miły,
Sanu bieg uroczy,
Gdy gdzieś za nim twe goniły,
Zadumane oczy?
Jak swojego cię witały
Te ciche ustronia,
I Czarnego Wiru skały,
I Dubieckie błonia.

Tuś się łamał młody jeszcze,
I sił twych próbował,
Z tegoś gniazda pisklę wieszcze
Orłem wyszybował!
I natchnienie błysło rzewne
W twéj ciemnéj źrenicy,
I zabrzmiały himny śpiewne,
Wszérz polskiéj ziemicy.

Wieszczu! wszak cię jeszcze bawi
Owych chwil wspomnienie,
Gdy świat polski ciebie sławi,
Twe powtarza pienie?
Twoja przyjaźń jeszcze żywa,
I płocho nie minie,
Kiedy umysł rad przebywa
W pamiątek dziedzinie.

Wieszczu! młodych lat marzenia
Czyliż spełznąć mają,

Czy téż rzewne twoje pienia
Nic nie wywołają?.....
Mająż pierzchnąć me nadzieje,
Jak to polne kwiecie,
Co je burza gdzieś rozwieje
Po szérokim świecie?......

O! ty spełnisz te nadzieje,
Bo pojęto ciebie!
Imię twoje zajaśnieje
Na tém polskiém niebie;
Już potomność je umieszcza
Za współbraci zgodą.....
Cnotom człeka, pieniom wieszcza
Zasługa nagrodą.

Alexander z Siecina Krasicki.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 51szy i obejmuje: 1) Notatki gospodarskie. 2) Jaki koń ma być użyty do poprawienia ras naszych koni, wschodni czy zachodni? (Dokończenie.) 3) O chorobie nitecznikiem zwanéj, tudzież o paraliżu jagniąt; przez rządcę dóbr Kunce. 4) Woda w któréj się konopie moczą, jest trucizną dla bydła. 5) O potrzebie krytycznéj historyi literatury gospodarstwa wiejskiego. 6) Raporta handlowe od 9 do 16 grudnia r. b. O powodzeniu się przedsiębierstwa pana Tergondego w Wiédniu. Ceny produktów we Lwowie. Targ na woły we Lwowie. Z Żółkiewskiego, 8 grudnia. Z Samborskiego, 9 grudnia.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 26ty i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Lekarz magnetyczny. (Dokończenie.) 2) Uwiadomienie.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* nr. 30ty zawiera: O mieszkańcach wschodniéj części gór karpackich, przez Wagilewicza. (Dokończenie.) — Dopisek Redakcyi. — Zarysy Syberyi przez M. Ł. — Rzut oka na deklinacyję polską, przez Felixa Jezierskiego. — Kronika piśmiennicza polska: Ateneum tom IV. r. 1844. — Nowości.

Tegoż pisma nr. 31szy: O zmianie dotychczasowego stanu poddaństwa włościan, przez M. Ch. (artykuł nadesłany z Wołynia przez właściciela ziemskiego). — Syn puszczy, dramat romantyczny w 5 aktach, przekład z niemieckiego przez Jana Aśnikowskiego. (przegląd) — Kronika piśmiennicza polska: Poezyje Jana z Wielomowic Gawińskiego. — Nowości.

Pękanie skały. Z Medyjolanu donoszą: Nad jeziorem komejskiem, około ślicznie położonéj wioski Limonta, słyszano od niejakiego czasu dziwny i z każdym dniem bardziéj wzmagający się łoskot, który pochodził ze skały, zawieszonéj tuż ponad wioską. Dla zbadania przyczyny tego osobliwszego łoskotu przedsięwzięto dokładne obejrzenie skały, przy czém ku wielkiemu zdziwieniu i większemu jeszcze przestrachowi postrzeżono w skale ogromną urabiającą się rozpadlinę, z któréj dawał się słyszeć huk przeraźliwy, podobny do szumu podziemnéj rzeki. Dano zaraz znać o tém delegacyi komejskiéj, a przybyły natychmiast inżynijer obwodowy nie tylko że uznał prawdziwość téj wiadomości, lecz przekonał się różnemi kilkokrotnie przedsiębranemi doświadczeniami, iż ta odkryta rozpadlina z każdym dniem się powiększa, a zatém skała niezawodnie urwać się musi. To zaś urwanie sprawi nieochybny wylew jeziora, który tak pobliższe wioski Cadenabia i Bellagio, jak i całą dalszą okolicę po Varenna może nagle zatopić. Cała téż prawie ludność opuściła wioskę Limonta, zagrożoną największém niebezpieczeństwem.

Człowiek mający serce na prawym boku. W kollegijum *San Carlos* w Madrycie znajduje się sala anatomiczna, gdzie zwykle wszystkie z głównego szpitalu przyniesione trupy przez uczniów chirurgii rozbierane bywają. Przed niedawnym czasem wzięli się uczniowie do dysekcyi ciała pewnego nieboszczyka i postrzegli ku wielkiemu zdumieniu, iż zmarły niemiał serca. Przypatrzywszy się jednak uważniéj, odkryto, iż ten nieboszczyk miał serce po prawym boku piersi, podczas gdy wszystkie naczynia, które zresztą są zazwyczaj po prawéj stronie, u niego po lewéj się znajdowały. Dokładne oglądnienie trupa przez jednego z profesorów, potwierdziło zupełnie uczynione przez uczniów dostrzeżenia. Jestto już czwarty czyli piąty wypadek tego rodzaju, zdarzający się w anatomicznych rocznikach rodu ludzkiego. Osobliwsze to ciało zostało nabalsamowane i w anatomicznym gabinecie pomienionego kollegijum złożone.

Bale dziecinne. Temi czasy wyszła w Wiédniu książeczka pod tytułem: *Deux lettres sur les bals d'enfants* — Dwa listy o balach dziecinnych — poświęcona »chrześcijańskim matkom«, i wskazująca już tém samém stanowisko, z jakiego te modne bale są tutaj uważane. Czcigodny jéj autor powstaje surowo przeciw upowszechniającemu się w naszych czasach zwyczajowi balów dziecinnych, uważając je za jedne z głównych przyczyn moralnéj stępiałości, na jaką teraźniejsza młodzież choruje. Wypadałoby życzyć aby wyrzeczone przez niego zdania i przestrogi zwróciły uwagę wszystkich matek i wychowawców. Niémasz zapewne rodziców, którymby na szczęściu ich dzieci nie zależało; ale najczęściéj używają oni zupełnie przeciwnych środków do tego i zupełnie téż przeciwne skutki ztąd wywołują; myślą sprawić dzieciom przyjemność temi balami, nie zważając bynajmniéj jakim szkodliwym wpływem przyjemność ta się opłaca; sądzą nadać dzieciom w ten sposób ową swobodną niewymuszoność, która ma im ułatwić ich późniejsze znalezienie się w towarzystwie, lecz nie zastanowią się nad tém, jak afektowane i przesadne stają się przezto ich maniery, jak wielkiém niebezpieczeństwem te szumne, odurzające rozrywki równie ich umysłowemu jak téż i fizycznemu rozwijaniu się grożą. Wszelki, jakkolwiek troskliwy nadzór jest w tym względzie bardzo pozornym środkiem zaradzającym, gdyż zgubność tych rozrywek polega w saméjże rozrywce, w zbyt gwałtownem wzruszeniu, w przedwczesném przedrażnieniu młodocianéj natury, — co wszystko robi dzieci niezdolnémi do uczuwania przyjemności w prościejszych i bardziéj niewinnemu ich wiekowi odpowiadających uciechach i zabawach, a nareszcie przytępia zupełnie ich umysłowe władze, odbiera im wszelką bystrość i świéżość.

Teatr w Rio de Janeiro. Pewien podróżny opowiada w swoim opisie téj stolicy cesarstwa brazylijskiego: Miasto Rio de Janeiro ma dwa teatry. Jeden z nich jest bardzo wielki i odznacza się osobliwszą budową, która wszakże tutejszemu klimatowi zupełnie odpowiada. We wszystkich jéj murach znajduje się tak nadzwyczajna ilość dużych otworów, iż każda prawie ściana jakgdyby rzeszoto wygląda. Te otwory ciągną się długiémi rzędami, i wychodzą na galeryje, otwarte przystępowi powietrza. Siedzący tedy wewnątrz widzowie bywają zupełnie w ten sam sposób orzeźwiani

powietrzem, jak ptaki zamknięte w klatce. Ztąd też dzieje się, iż pomimo niezliczona moc gorejących tam świateł, nieustanny przyjemny chłód przewiéwa całą budowę. Prócz tego jednak jest wszystko resąta, jakoto gra, śpiew i t. d. niesłychanie liche; jeden tylko główny świecznik zasługuje na pochwałę, gdyż jest niezaprzeczenie najpiękniejszym i najkosztowniejszym lampionem, jaki rzadko w którym teatrze widzieć można. — W tym nadzwyczajnie obszernym i zupełnie napełnionym gmachu — opowiada dalej nasz autor — nie widziałem więcéj jak trzy ładne kobiéty, i to Włoszki, śpiéwaczki. Brazylijanki mają powszechnie czarne oczy, cienkie usta, podobnąż niższą część twarzy, rzadki czarny włos i osobliwszą zielonkowatobiaławą cerę, która nader przykre wrażenie na cudzoziemcach sprawia. W ich rysach widać udaną, wymuszoną oziębłość i odrażającą pychę. Po półrocznym jednak pobycie dostaje każdy cudzoziemiec takiejże samej zielonkowatéj cery.

Czytelnia dla klas wyrobniczych w Londynie. Dnia 28 października otworzono w jednéj z dzielnic Londynu, gdzie najliczniejsza część robotników jest zamieszkałą, nowouorganizowany gabinet do czytania — *a subscription reading room* — który każdego wieczora, z wyjątkiem niedzieli, od 6 do 10 godziny, za tygodniową, co poniedziałek z góry składaną opłatę dwóch groszy, przez wszystkich wyrobników odwidzanym być może. Znajdują się tam wszelkie dzienniki i pisma peryjodyczne, oprócz takich, które teologijne lub konfessyjonalne dążności mają. Z tym gabinetem łączą się jeszcze inne opalane i oświetlone sale, gdzie można dostać różnych posiłków za zwykłą cenę sklepową, wyjąwszy jednak wino, wódkę i tytoń. Na czele tegoż przedsiębiorstwa stoją dobroczynni mężowie, co nie tylko żadnego ztąd zysku nie szukają, lecz owszem sami dość znaczne sumy złożyli, aby ten swój zakład uczynić przystępnym ludności wyrobniczéj, która zwykle długie zimowe wieczory na szynkach lub w domach gry przepędza.

Surowe prawa przeciwko Żydom w Norwegii. Niedawno temu odkryto w Chrystyjanii, iż dwie osoby, które w zupełnie bezzasadne podejrzenie oszukaństwa popadły, religiję żydowską wyznawały. Wzięto je natychmiast do więzienia, gdzie mają być sądzone. Podług ustaw krajowych czeka ich kara 800 talarów i wygnania z granic całego państwa.

Nagroda dla wnioskodawcy zniżonéj opłaty od listów. W całéj Anglii zbiérają teraz składki dla pana Rowland, który dał powód do zniżenia pocztowéj opłaty od listów, zaco mu teraz naród ową zamierzoną nagrodą chce swoję wdzięczność wynurzyć. Zebrana dotąd składka wynosi 70.000 talarów, lecz ta sama suma zostanie jeszcze przynajmniéj podwojoną, gdyż inaczéj nie możnaby jéj uważać za dostateczną nagrodę narodową.

Środek przeciw żółtaczce. Przypadkiem odkryto iż najskuteczniejszem lekarstwem na żółtaczkę jest słabość morska. Umiejętność medycyny nieomieszka zapewne korzystać z téj danéj przez naturę skazówki.

O przemyślnéj zręczności szczurów opowiada Wrede w swoich »Obrazach północnéj Ameryki« zadziwiający przykład: Pewna stara murzynka, którą już kilka razy za ustawiczne tajemnicze znikanie jaj karano, zdusiała się nie mało postrzegłszy, iż dwa szczury tę kradzież popełniały, postępując przy tem w następny sposób. Ponieważ sobie życzyły bezpiecznie swoją zdobycz pożywać, i żadnego śladu kradzieży nie zostawić, przeto uwzięły się unieść jajo ze sobą. Lecz to nie jest tak łatwą rzeczą dla szczura. Naobracawszy się więc to okrągłe licho na wszystkie strony, i napróbowawszy się daremnie uchwycić je zębami, wpadły wkońcu na myśl, aby je zatoczyć do swojéj dziury. Ależ takim sposobem można było łatwo stłuc jajo. Niewiedząc zatem co robić, położył się jeden z szczurów na wznak, wziął jajo pomiędzy cztery łapy i przytrzymał je na brzuchu; drugi zaś, niemniej przebiegły od tamtego, uchwycił go natychmiast za ogón i cofając się tyłem, zataszczył go szczęśliwie do dziury.

Osobliwszy proces. Niedawno temu toczyła się przed paryzkim sądem cywilnym następująca sprawa między dyrektorem teatru a aktorką: Aktorka żądała dwóch lamp do swojéj komórki do ubierania, dyrekcyja zaś nie chciała dać tylko jednę. »Muszę mieć koniecznie dwie lampy,« — mówiła aktorka; — »po każdéj stronie zwierciadła, przy którém się do wystąpienia na scenę przygotowuję, musi się lampa znajdować. Przy jednéj tylko lampie, mogę się téż z jednéj tylko strony obaczyć, a przezto muszą się do mojéj toalety rożne niestosowności wkradać: jeden policzek zanadto czerwony, drugi zanadto blady; jedna brew wydatniejsza niż druga; prawe ramię białe, lewe brunatne; po jednéj stronie mam dwadzieścia, po drugiéj trzydzieści lat; po téj stronie jestem piérwszą kochanką, po tamtéj tylko subretką — słowem jest to do niewytrzymania!« — Otóż zważywszy iż piękność, która ma w całym blasku na teatralnych deskach zajaśnieć, istotnie tylko przy lampach tworzoną bywa, i że przeto aktorka nie może być nigdy zanadto w tym względzie oświetloną — skazał sąd dyrektora na zapłacenie kosztów i dostarczenie dwóch lamp żądanych.

Złodziej obrażony. Pewien elegant przystąpił do kasy teatralnéj, wyjął ładną sakiewkę, w któréj po jednéj stronie błyszczało złoto, po drugiéj srebro, i zapłacił za bilet. Po wyjściu z teatru pokazało się iż mu sakiewkę ukradziono, co go tem nieprzyjemniéj dotknęło, iż dopiéro na trzeci dzień spodziewał się dostać znowu pieniędzy. Miałże tak długo siedzieć w domu? Nareszcie przyszła mu szczęśliwa myśl do głowy. Miał nadzwyczaj piękne do grania marki, które przez 24 godzin wyśmienicie za złoto uchodzić mogły. Włożył tedy 20 marków do sakiewki i poszedł znowu wieczorem do teatru, gdyż mu się jeszcze tyle drobnych zostało, aby mógł kupić bilet. Po teatrze wstąpił do restauratorni i kazał sobie dać wieczerzę. Chcąc płacić, postrzegł iż mu znowu sakiewkę ukradziono. Roześmiał się tą razą i zdejmował już pierścień z palca, aby go w zastaw gospodarzowi złożyć, gdy jakiś dobrze ubrany mężczyzna doń przystąpił, prosząc go na ustęp dla pomowienia z nim słów kilka. Postąpili obaj ku drzwiom, a tutaj zapytał nieznajomy: »Czyto wpanu ukradziono wczoraj w teatrze 20 napoleonów?« — »Tak jest, moj panie.« — »Również jak i dzisiaj 20 — jakże mam powiedzieć — medalijonów?« — »Tak jest.« Na te słowa nieznajomy, oddając sakiewkę, wyciął mu oraz tęgi policzek, mowiąc: »Oto masz pan w dodatku, aby cię nie zbiérała więcéj ochota drwić sobie z uczciwych ludzi. Co powiedziawszy, znikł w okamgnieniu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.